NIECH ŻYJE ZLOT MŁODYCH PRZODOWNIKÓW — BUDOWNICZYCH POLSKI LUDOWEJ!

Cena 30 groszy

Świat MŁODYCH

CZUWAJ

Nr 29 Warszawa. 20-22. VII. 1952

PISMO MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ I SZKOLNEJ

TOWARZYSZOWI BIERUTOWI

Nie szczędzisz sił i pracy
Dla nas, dla Ojczyzny
Towarzyszu Prezydencie,
A my Cię kochamy za to
I będziemy kochać coraz więcej —

O swej miłości Ci powiemy
Piątkami na świadectwach,
Każdą pracą nową.
O swej miłości Ci powiemy
Naszym Czynem Zlotowym.

ALA WAWRZYNIAK
Wrocław, klasa VI

20 — 22 VII

DOBRZE JEST DZIECIOM

Ulicą gwarną, słoneczną,
Idą uśmiechnięte dzieci ze szkoły
I słońce do nich śmieje się serdecznie;
Dziś dzieci w Polsce są wesołe.

Mogą się uczyć w szkołach jasnych,
Mogą się bawić, kąpać w morzu
I w góry jechać na wakacje —
Dobrze jest dzieciom w Polsce, dobrze.

JÓZEF BETLIN
Warlubie pow. Świecie, klasa VI

ROZMOWA NA WAKACJACH

Walek i Jerzyk na polu siedzą:
— To nasze zboże, jak okiem sięgniesz.
A tutaj dawniej biegła miedza.
Teraz mamy spółdzielnię.

Ojciec prowadził jeden traktor,
Kiedy tę miedzę zaorali.
I zboża będzie teraz aż nadto!
Do miasta wam część oddamy.

A na to Jerzyk: — Wiesz, mój tato
Traktory dla was w fabryce robi.
Przyjedziesz do nas na przyszłe lato,
Wtedy ci wszystko pokażę, opowiem.

STANISŁAW KOZŁOWSKI
wieś Domaniewo, klasa VII

JAK MIŁO ŻYĆ JEST, PRACOWAĆ, MARZYĆ...

W szybie górniczym, w fabrycznej hali
Robotnik wesół pracuje,
Bo własną Polskę z żelaza, stali
Dźwiga, wzbogaca, buduje.

Wychodzą z fabryk maszyny nowe,
Auta i samoloty.
Pola nam orzą konie stalowe;
Wyrasta Polska z wspólnej roboty.

Jasna żarówka będzie się żarzyć
W każdej najdalszej wiosce.
Jak miło żyć jest, pracować, marzyć
W szczęśliwej nowej Polsce.

ANICET ZBOROWSKI
Zakład dla niewidomych w Laskach, klasa VI

Polska Rzeczpospolita Ludowa otacza szczególnie troskliwą opieką wychowanie młodzieży i zapewnia jej najszersze możliwości rozwoju. (z Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej)

22·VII·44

22·VII·52

Gdyby nie wiadomości zdobyte w szkole, gdyby nie wspomnienia starszych, przeczytane książki i obejrzane filmy — niewiele chyba moglibyście opowiedzieć o tamtych zwycięskich dniach sprzed ośmiu lat. I o najwspanialszym — o dniu 22 lipca...

— Niewiele? To nieprawda— powiecie. I jedno przez drugie zaczniecie dzielić się własnymi wspomnieniami:

— Siedziałem ojcu na ramieniu, gdy czytał przyklejony na parkanie w naszym miasteczku wielki, biały afisz. Teraz wiem, że to był Manifest Lipcowy, który obwieścił polskiemu ludowi wyzwolenie i szczęście.

— A ja też dobrze pamiętam tamto lato. Przez wieś przejeżdżały wielkie czołgi. Razem z radzieckimi oddziałami maszerowali polscy żołnierze. Jeden czołgista wszedł do naszego domu napić się wody. To był radziecki żołnierz. Rozmawiał z nami wesoło. Mówił, że jedzie dalej — wyzwolić naszą Warszawę. I jeszcze dalej — na Berlin.

— Mnie dziadek wziął ze sobą na pole, gdy dzielili ziemię. Mój dziadek nigdy nie miał ziemi, a wtedy dostał z reformy rolnej pięć hektarów. Inni też. Po dziedzicu...

— Ja mieszkam cały czas w Warszawie. Choć byłam wtedy mała, dużo pamiętam. I jak most odbudowywali, i jak ruszyła fabryka, w której pracuje mama, i nawet jak na Nowym Świecie leżał gruz, chyba aż pod pierwsze piętro...

Tak. Więc pamiętacie...

*

Od tamtych dni minęło osiem lat.

Wszędzie wokoło zaszły ogromne zmiany: tu dzieci otrzymały nowy, ładniejszy budynek szkolny, tam wybudowano wygodną drogę i powstała fabryka, której dotąd nie było, w sąsiedniej wsi od dwóch lat gospodarzy spółdzielnia produkcyjna, w pobliskim mieście otwarto dom towarowy i niedługo ukończą kino, w tym roku wyjechałeś na kolonie i wróciłeś opalony, zdrowy, uśmiechnięty, ojciec twego kolegi — przodownik pracy w kopalni — dostał jasne słoneczne mieszkanie, starsza siostra idzie na uniwersytet — zostanie lekarzem...

Te zmiany następują tak szybko, że często nie mamy czasu pomyśleć, ile kosztowały pracy, ile trudu...

Aż przychodzi 22 lipca...

Tego dnia mówimy z dumą: dużo zrobiliśmy, by być godnymi następcami najlepszych synów ojczyzny, którzy dla sprawy ludu oddawali wszystkie swoje siły, a nawet życie... Ich imiona noszą dziś szkoły i harcerskie drużyny, fabryki, kopalnie i spółdzielnie produkcyjne.

Wśród cegieł, z których wyrasta wielki gmach ojczyzny są i wasze cegiełki. Są dobre stopnie na świadectwach, tysiące zasadzonych drzewek, tony zebranego złomu, radosne i pożyteczne zajęcia w świetlicach, na wakacjach, prawdziwie harcerskie czyny.

*

Od tamtych dni minęło osiem lat.

Urośliście, chłopcy i dziewczynki. I urosła też Polska Ludowa...

To, co obwieszczał wówczas wielki Manifest, stało się naszym życiem. Trudnym, ale pięknym.

Wtedy nie umieliście nawet przeczytać gorących słów apelu. Dziś nie tylko je czytacie, ale staracie się rozumieć i wypełniać.

I będziecie się starali zrozumieć i wypełnić słowa naszej Konstytucji, która wyrosła z Manifestu, jak wspaniała budowla z mocnych fundamentów.

Weźmiecie sobie do serca przede wszystkim te słowa, które was dotyczą, które zapewniają dzieciom opiekę państwa, najpiękniejszą przyszłość o jakiej nie mogą nawet marzyć wasi rówieśnicy w krajach, gdzie jeszcze rządzą kapitaliści.

Ale słowa Konstytucji także zobowiązują. — Toteż, gdy na Złocie zabrzmi ślubowanie, będziecie wiedzieć, że to najlepsi spośród młodych składają je ojczyźnie i towarzyszowi Bierutowi, także i w waszym imieniu.

Będziecie wytrwali w swych dążeniach ,każdym dniem swego życia będziecie wzmacniać siłę naszego kraju i obóz pokoju na świecie.

Ślubowania nie można złamać! Nie można zawieść ojczyzny i towarzysza Bieruta, który powiedział do was:

„MŁODZI OBYWATELE! TAKA BĘDZIE PRZYSZŁOŚĆ POLSKI, JAKĄ WY POTRAFICIE STWORZYĆ. — W WASZEJ NAUCE I W WASZEJ CODZIENNEJ PRACY MIESZCZĄ SIĘ POTĘŻNE ŹRÓDŁA SIŁY TWÓRCZEJ, Z KTÓRYCH NARÓD POLSKI CZERPAĆ BĘDZIE SOKI ODŻYWCZE I POTĘŻNIEJĄCĄ MOC SWEGO ODRODZENIA". *)

*) Z przemówienie Prezydenta Bolesława Bieruta na Kongresie Jedności Młodzieży we Wrocławiu 22 lipca 1948 r.

Wolność! Przyniosła ją Armia Radziecka, przyniosło ją braterstwo broni radzieckich i polskich żołnierzy.

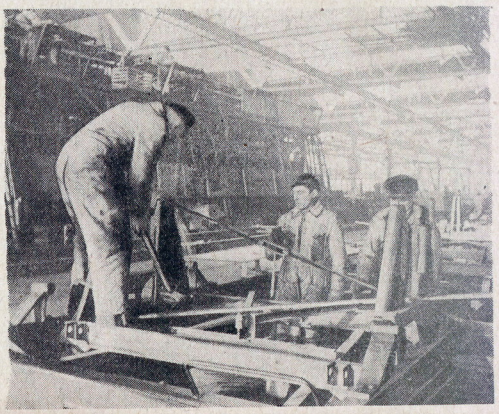

Wspólnym wysiłkiem robotników i inżynierów powstały z ruin fabryki, kopalnie i huty.

Wracali ludzie z tułaczki. Rozlepiony na murach witał ich Manifest Lipcowy.

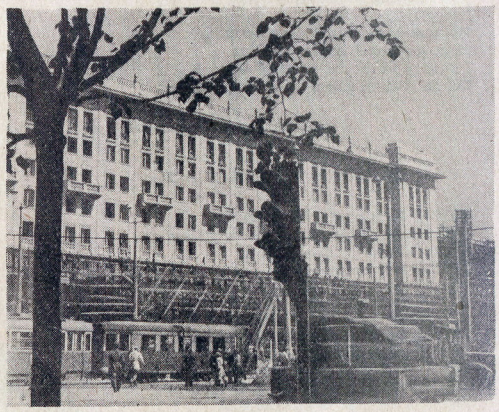

Wznosimy wielkie budowle socjalizmu, rozwija się przemysł, budujemy Polskę z żelaza i stali.

Koniec długowiecznej krzywdy: Ziemia dla chłopów! Ludzie pracy stali się gospodarzami kraju.

Coraz więcej na polach traktorów i maszyn. Coraz lepsze plony zbierają z pól rolnicy w spółdzielniach produkcyjnych i PGR-ach.

KTO KOCHA SWÓJ KRAJ, SWOJĄ OJCZYZNĘ — TEN SŁUŻY JEJ ZE WSZYSTKICH SIŁ!

DROGI NASZ WYCHOWAWCO I NAUCZYCIELU!

Jestem delegatem na Zlot Młodych Przodowników — Budowniczych Polski Ludowej. Kiedy zostałem wybrany, bardzo ucieszyłem się, że będę mógł reprezentować swoją drużynę na Zlocie i zameldować Tobie, że nasze zobowiązania zostały całkowicie wykonane.

Opiekowaliśmy się ogródkiem i boiskiem szkolnym, pracowaliśmy w parku miejskim, gdzie sadziliśmy drzewka, robiliśmy alejki, równaliśmy ziemię i sialiśmy trawę. W ten sposób zaoszczędziliśmy 6 tysięcy złotych. Prócz tego wielu harcerzy wykonało swoje własne zobowiązania. Ja dla uczczenia Zlotu podjąłem się pomagać w czasie wakacji „poprawkowiczom" z młodszych klas.

Nie myśl kochany Prezydencie, że tylko ja jestem przodownikiem. Jest ich więcej. Na Powiatowym Zlocie Bogdan Tomalak, Ewa Motecka i Krysia Gryciuk otrzymali dyplomy uznania a cała nasza drużyna została wyróżniona za to, że pierwsza podjęła Harcerski Czyn Zlotowy.

Na obozie przedzlotowym w Milanówku przygotowujemy się także do Zlotu, abyś Ty kochany Prezydencie mógł być z nas dumny. Wielu z nas zobaczy Ciebie po raz pierwszy. Ja bardzo się cieszę, że będę mógł Cię zobaczyć wśród członków rządu. O tym spotkaniu będę opowiadał swym kolegom, aby i oni, choć nie byli w Warszawie, razem ze mną to przeżyli. Wiemy dobrze, że gdyby nie nasz rząd ludowy i Ty kochany Prezydencie, nie mógłbym nawet pomyśleć o tym wielkim i wspaniałym święcie młodzieży.

Przyrzekam, że dalej będę się dobrze uczył i pracował w drużynie, aby wyrosnąć na dobrego obywatela.

Przesyłam Ci najserdeczniejsze pozdrowienia

RYSZARD PISARSKI
członek Rady Drużyny
na obozie przedzlotowym w Milanówku

MELDUJEMY CI TOWARZYSZU PREZYDENCIE

Drogi Prezydencie — Nasz Nauczycielu!

Pragnę Ci powiedzieć, że zobowiązania Zlotowe wykonaliśmy w 100 procentach. Zasadziliśmy 5.000 dębów i klonów na haliznach leśnych.

Cieszymy się bardzo, że w naszym lesie będzie o tyle drzew więcej. Drzewami tymi opiekujemy się, a nasz kącik leśny nazwaliśmy „Lasem Odrodzenia".

Odstawiliśmy też 2.000 kg złomu, który został zebrany przez harcerzy. W czasie tej zbiórki był wielki ruch w okolicy. Przeszukaliśmy wszystkie kątki i gdzie tylko znaleźliśmy najmniejszy nawet kawałek żelaza, zanosiliśmy zaraz do szkoły. Bardzo ucieszyliśmy się, gdy za naszym przykładem chłopi z sąsiednich wsi także odstawili złom do spółdzielni. Zbieraliśmy także makulaturę, szmaty i butelki. Muszę Ci napisać, Kochany Prezydencie, chociaż nigdy się przed nikim nie chwalę, że najwięcej złomu zebrałem ja i bardzo się z tego cieszę.

W imieniu całej drużyny całuję Cię mocno

Jurek Zatorski kl. IV
Chodkowo, gm. Płoniawy
pow. Maków Maz.

TAK POSTĘPUJĄ HARCERZE

OPIEKUNKI JEDWABNIKÓW

Krysia Kanka miała wyjechać na wakacje do cioci. Bardzo się z tego cieszyła. Zobaczy Bydgoszcz, zwiedzi muzeum, będzie chodzić do teatru... Irenka Klinkosz miała inne plany. Zanim rozstanie się ze szkołą podstawową, ze swymi koleżankami, spędzi jeszcze lipiec razem z nimi na kolonii.

Tak planowały sobie dziewczynki jeszcze na początku czerwca.

A pod koniec roku szkolnego przewodnik drużyny zwrócił się do klasy siódmej o pomoc. Chodziło o hodowlę jedwabników.

Hodowlę założyli uczniowie klasy piątej. Z jajeczek sprowadzonych aż z Milanówka, wylęgły się w szkole gąsienice. W lecie zaczną snuć oprzędy, z których powstanie potem jedwab. Ale oto okazało się, że właśnie w czasie lata nie będzie komu karmić gąsienic, bo wszyscy mali „hodowcy" wyjeżdżają z miasta.

Krysia i Irenka przez kilka dni nie mogły się zdecydować. Cieszyły się, że zaraz po rozdaniu świadectw wyjadą na wakacje... Ale zaczęta praca młodszych dzieci nie może pójść na marne...

*

Gdy na ostatniej zbiórce zastępu harcerki zgłaszały swoje zobowiązania na okres wakacji, Krysia i Irenka powzięły już postanowienie: zostaną na lipiec w domu, będą karmić gąsienice. Pomogą w ten sposób młodszym kolegom, a fabryce jedwabiu przybędzie kilkaset metrów cennej przędzy...

Gdy w pewne upalne południe z rynku Kartuz wyjeżdżał autobus pełen uczniów szkoły TPD nr 2, przez plac przechodziły Irenka i Krysia. Wesoło pomachały odjeżdżającym pękiem liści morwowych. Szły do „swojej" hodowli.

Drogi Nasz Opiekunie!

Nasza drużyna harcerska w Trzebielu postanowiła w dniu naszego święta podzielić się z Tobą swymi osiągnięciami. Dla uczczenia Zlotu wykonaliśmy dużo zobowiązań. Najważniejsze z nich to uporządkowanie boiska i ogrodu szkolnego, udekorowanie szkoły i zebranie 1.100 kg tłuczki. Naszym Czynem Zlotowym chcieliśmy przyczynić się do rozbudowy Polski Ludowej.

W drużynie przeżywamy radośnie dni przedzlotowe. Pamiętamy jednak i o dzieciach z krajów kapitalistycznych. Nie mogą one żyć tak szczęśliwie i swobodnie jak my, w naszej kochanej Polsce Ludowej.

Kochany Opiekunie! Jesteśmy dzisiaj pełni radości i chcemy Ci przesłać najserdeczniejsze pozdrowienia, gdyż kochamy Cię bardzo mocno, tak jak naszą ojczyznę, dla której coraz lepiej chcemy pracować.

Drużyna Harcerska w Trzebielu

Zlotowa PODRÓŻ

Z PAMIĘTNIKA Losi

W drogę do Warszawy wybraliśmy się we troje. Franek, który zawsze o coś pyta — wziął plecak. Janek — wierszokleta: aparat fotograficzny, a ja — wielki notes.

— Pojedziemy dookoła Polski! — krzyknął Janek.

— Będziemy się o wszystko pytali! — ucieszył się Franek.

— A ja będę wszystko zapisywała — powiedziałam.

Już na stacji z Frankiem kłopot. Tak długo pytał w kiosku o gazety, że bylibyśmy odjechali bez niego. Ledwie wskoczył do wagonu — zawiadowca podał sygnał.

— Tor wolny!

Pociąg ruszył. Podróż rozpoczęta...

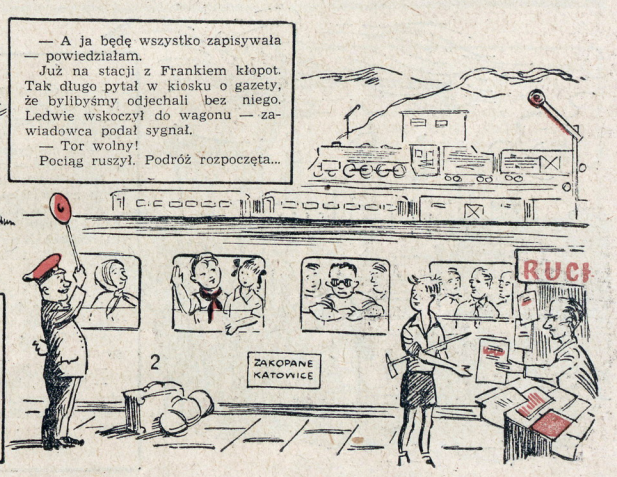

Tekst: J. Domagalik. Rysował: Chmiel.

Od nas PRZYRZEKAJĄ OJCZYZNIE

PRZEWODNICZĄCY ZLOTOWEJ DRUŻYNY

...Coraz wyżej i wyżej ku błękitnemu niebu wznosi się białoczerwona flaga. — Pierwszy apel poranny na harcerskiej kolonii przedzlotowej w Wilanowie rozpoczęty... Koło masztu wre praca nad układaniem odznak organizacyjnych:— „Oj, nie tak. Popatrz, jak tu nierówno. Zaraz ci pomogę, poczekaj.“ Nieduży jasnowłosy harcerz energicznym ruchem poprawił źle ułożone płyty. Potem podbiegł do drugiej grupy. Pomagał organizować pracę, dwoił się, troił. — „Widzisz

go — kręcili głowami koledzy — taki mały, a jak potrafi...

I tak od pierwszego dnia Marek Kordos swoim wesołym uśmiechem, swoim zapałem w pracy zdobył uznanie wszystkich dzieci. Toteż gdy nadeszły wybory do Rady Drużyny jednogłośnie został wybrany na przewodniczącego. Marek ma dwanaście lat i zdał do szóstej klasy szkoły nr 32 w Warszawie jako bardzo dobry uczeń. Kiedy w październiku ubiegłego roku wstąpił do drużyny, zastęp do którego go przyjęto był jednym z najgorszych. Marek nie mógł się z tym pogodzić. Zorganizował samopomoc koleżeńską, sam pomagał kolegom w nauce, starał się, aby zbiórki były ciekawe. I wkrótce zastęp przestał być tym „najgorszym“, a Marek został członkiem rady drużyny. Przed końcem roku dzieci wybrały go delegatem na Zlot.

...Na kolonii w Wilanowie często wieczorami harcerze opowiadają sobie o najpiękniejszym dniu w swoim życiu i o tym, co będą robić w przyszłości. Marek bez końca może opowiadać o chwili kiedy na akademii ku czci 30-lecia Organizacji Pionierów Radzieckich sekretarz Komsomołu tow. Fiodorowa przypięła do jego mundurka pionierski znaczek i zawiązała mu na szyi czerwoną pionierską chustę. Marek tego dnia nigdy nie zapomni. Bez końca potrafi też mówić o tym, jak kiedyś będzie lotnikiem. I to jednym z najlepszych lotników polskich, tak jak teraz jest jednym z najlepszych uczniów.

PRZODOWNICY

STASZEK KAPUŚNIAK Z MDM

Brygada Staszka Kapuśniaka to „Szturmowa brygada“ murarska MDM-u.

Kiedy Zarząd Główny ZMP zwrócił się do młodzieży z apelem zlotowym, Staszek odczytał apel swoim kolegom z brygady.

Na taki apel nie wolno nie odpowiedzieć. 22 lipca — Zlot, 22 lipca —termin oddania MDM-u. Brygada wykonywała już 213% normy. Staszek postanowił jednak jeszcze więcej zrobić dla Zlotu.

Od dawna marzył o pobiciu rekordu murarskiego. Gdy ogłoszono apel zlotowy, powiedział:

— Właśnie teraz czas na rekord!

Trójka stanęła na murze. Od samego rana świeciło słońce, chłopcy zabrali się do pracy w koszulkach gimnastycznych.

Gdy ułożyli już 3690 cegieł — przyniesiono Staszkowi plany parteru.

— Trzeba było przynieść przed godziną! — zdenerwował się. — Przecież tu nie jest prosty mur, tu mają być filarki!

Filarki — to trudna murarska robota. Nie ciągnie się muru równo, cegła za cegłą, ale trzeba robić „wysepkami“.

Trójka była niezdecydowana. Zobowiązanie brzmiało: ułożyć w ciągu 8-miu godzin 18 tysięcy cegieł. Ale jak to wykonać w tak trudnych warunkach?

Heniek Głowacki i Staszek Nasiłowski wahali się jeszcze, gdy Staszek Kapuśniak postanowił:

— Na prostym murze mielibyśmy nawet nadwyżkę. Tutaj nie będziemy mieć. Starajmy się zrobić tylko 18 tysięcy.

Gdy zmęczeni murarze przystanęli na chwilę, żeby odpocząć, brakowało jeszcze godziny do końca pracy. Wtedy technik ogłosił wynik: wmurowano 18 tysięcy cegieł!

W 8-miu godzinach trójka ułożyła 19.647 cegieł. Tego dnia Kapuśniak wysłał list do murarzy z Olsztyna, wzywając ich do współzawodnictwa.

Na wieść o rekordzie brygady Kapuśniaka młodzi murarze na MDM-ie, w Olsztynie, w całej Polsce zaczęli pracować jeszcze szybciej. Niedługo przyszła wiadomość z Olsztyna: rekord pobity — olsztyniacy ułożyli 25 tysięcy cegieł, ale w prostym murze.

Staszek z uśmiechem przyjął tę wiadomość. Koledzy myśleli, że będzie się martwił. Ale on powiedział tylko:

— Przecież po to robiłem, żeby dać im przykład, żeby i oni lepiej pracowali!

Na cztery dni przed Zlotem „trójka“ Staszka ustaliła nowy rekord: 28 022 cegły.

Staszka Kapuśniaka, przodującego murarza MDM-u spotkamy na Zlocie.

T. R.

PIERWSI Z NASZYCH SZEREGÓW

SANITARIUSZ

...Las napełnił się gwarem, śmiechem i radością. Harcerze z Kolonii Przedzlotowej we Włocławku wybrali się dzisiaj na wycieczkę. Wśród drzew migają postacie dziewcząt i chłopców. Spieszą na słoneczną polankę, gdzie za chwilę rozpocznie się wspólna zabawa.

Trochę dalej w cieniu rozłożystej sosny zebrała się mała grupa. Cóż to? Na zasłanym pośpiesznie liśćmi posłaniu leży mały chłopak, koło niego krząta się energicznie harcerz z opaską Czerwonego Krzyża na rękawie.

— Głowa musi być nisko, teraz trzeba przyłożyć wilgotną gazę — mówi półgłosem zręcznie wykonując „lekarskie czynności“.

— Gotowe! Pierwsza pomoc udzielona. Janek Kozłowski będzie mógł wrócić do wycieczkowej gromady. Edek Rzyski z zadowoleniem wkłada do apteczki polowej swoje „lekarskie przybory“. Jest na kolonii sanitariuszem. Wszyscy mówią na niego po prostu „doktór“. Edek jeszcze w ciągu roku szkolnego ukończył kurs sanitarny i jako jeden z najlepszych otrzymał odznakę przysposobienia sanitarnego. Teraz jest prawą ręką kolonijnego lekarza. Ofiarnie i sumiennie spełnia swe obowiązki sanitariusza. Ale na tym nie koniec. Dzięki temu, że potrafił dobrze zorganizować i zachęcić kolegów, „Dwunastka“ czyli sypialnia, w której śpi Edek jest najładniej udekorowana i zawsze panuje w niej wzorowy porządek. „Dwunastka“ przoduje też w zbiórce makulatury. Nic w tym dziwnego. Przecież sam Edek zebrał dwa pełne kosze.

A jak było w szkole? Na to pytanie odpowiadają same piątki na świadectwie. Mówi też piękny ogródek miczurinowski założony przez kółko biologiczne. Przewodniczącym tego kółka był właśnie kolonijny sanitariusz. Wszyscy koledzy szanują Edka „doktora“ i mają do niego zaufanie.

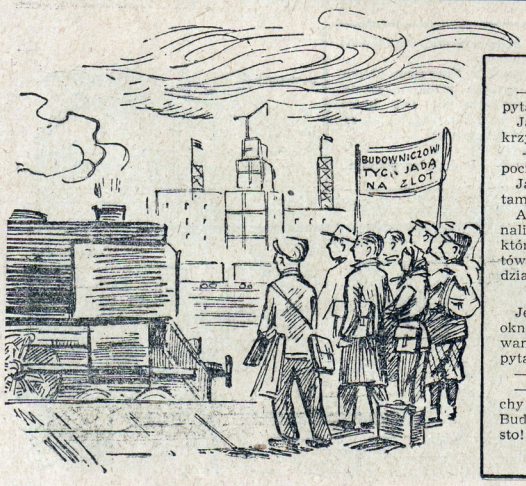

— Janek, co to za miasto? — zapytał Franek.

Janek wyjrzał przez okno i wykrzyknął:

—To nie żadne śmichy — chichy, pociąg staje — miasto Tychy!

Jacyś ludzie tu czekają i z kwiatami nas witają!

Ale to nie nas witali, tylko żegnali Młodych Przodowników z Tych, którzy jechali na Zlot. Kilku delegatów wsiadło także do naszego przedziału.

*

Jechaliśmy już kilka minut, a za oknami wciąż nowe domy i rusztowania. Franek nie wytrzymał i zapytał:

— Czy to już inne miasto?

— Nie! To ciągle jeszcze nasze Tychy! — zaśmiali się zgromadzeni. — Budujemy wielkie, stutysięczne miasto!

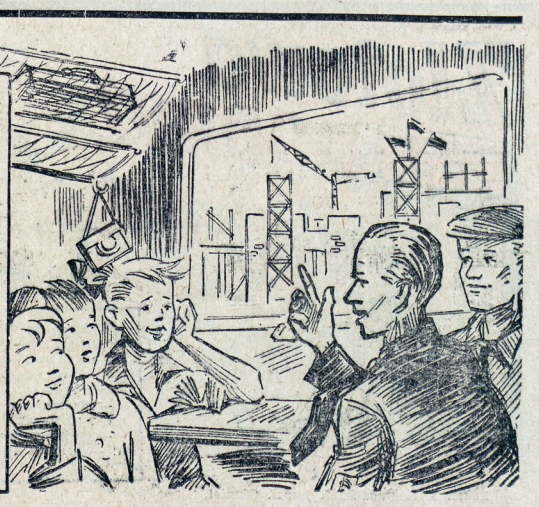

Miasteczko SZCZĘŚLIWYCH DZIECI

Tuż nad samym brzegiem Zalewu Szczecińskiego, na miejscu dawnej osady rybackiej Podgrodzie, przed paru miesiącami zjawili się robotnicy. Zamarła i zniszczona osada miała powrócić do życia i stać się czymś zupełnie nowym — nadmorskim osiedlem dla dzieci, polskim Artekiem.

W pierwszych dniach lipca przyjechali do Podgrodzia chłopcy i dziewczynki z całej Polski — mali, więksi i zupełnie duzi — synowie i córki przodowników pracy. Przeszło tysiąc mieszkańców dziecięcego miasteczka!

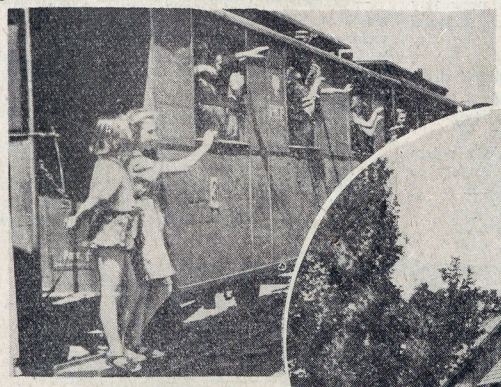

Czekały już na nich rozsypane wzdłuż szerokich ulic domki o czerwonych dachach i zielonych okiennicach.

Domki stoją wśród drzew: wysokich sosen, jabłoni, kwitnących lip. Miasteczko opasują pierścieniem zarośla i las, zbiegający od północy aż nad rozległe wody Zalewu, otoczone piaszczystą plażą.

Oprócz domków - sypialni, są domki - umywalnie, domki - stołówki, domki - świetlice, bar mleczny i kino - teatr. Tuż przy wjeździe do Podgrodzia rozsiadło się kolorowe, z karuzelami jak wielkie grzyby, „wesołe miasteczko".

DZIECI ORGANIZUJĄ SWOJE ŻYCIE

Zaraz po przyjeździe dzieci rozlokowały się w domkach według wieku. Każdy domek zamieszkuje zespół 28 — 30 osób. Samo miasteczko podzielone jest na cztery dzielnice: dwie dzielnice chłopców i dwie dziewcząt. Domkiem i jego młodymi mieszkańcami opiekuje się wychowawca. Ale to przecież nie wystarczy. W Podgrodziu dzieci same pod opieką starszych mają organizować życie miasteczka. Dlatego też od razu wybrały swoje władze: radę domu — przewodniczącego i czterech lub pięciu ogniwowych. W parę dni po przyjeździe odbyły się w poszczególnych dzielnicach wybory do rad dzielnicowych. Niedługo nastąpią wybory najważniejsze — do rady miejskiej.

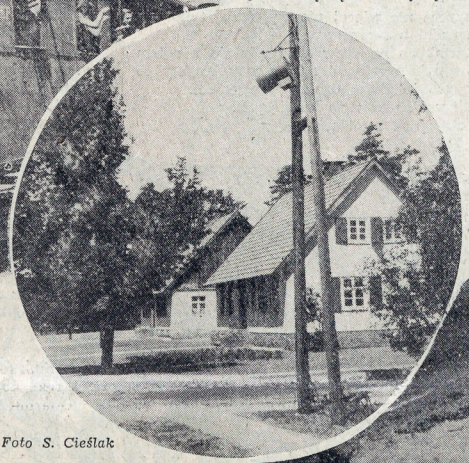

Foto S. Cieślak

Rada miejska będzie miała wiele ważnych i ciekawych obowiązków. Jej to powierzony zostanie zarząd prawdziwej małej kolejki, której tory biegną aż na brzeg morza, opieka nad kino - teatrem, własną pocztą i „wesołym miasteczkiem". Rada także zorganizuje spośród mieszkańców milicję porządkową i straż wybrzeża.

Wiele dzieci nie może się już doczekać, kiedy włoży na siebie mundur kolejarza, czy pocztowca i zacznie spełniać swój zawód.

GDY WSTAJE NOWY DZIEŃ...

Rano, kiedy promienie słoneczne wypijają ostatnie krople rosy, otwierają się szeroko zielone drzwi domków i wybiegają z nich dzieci. Zaspane przecierają oczy. Świat wita je piękną pogodą i świergotem ptaków. Wtedy sen ulatuje. Czeka przecież na wszystkich nowy dzień, na pewno ciekawszy od poprzedniego. Jeden z pierwszych dni pobytu, w których organizuje się wspólne życie miasteczka, powstają nowe znajomości i przyjaźnie.

Najpierw gimnastyka na zielonym boisku, potem sprzątanie pokoików, mycie i... apel. A na apelu wszyscy dowiadują się, co też będą robić tego dnia.

Jedne grupy pójdą na plażę, inne urządzą ciekawą wycieczkę, jeszcze inne będą wspólnie czytać książkę, grać w gry przyrodnicze, zbierać okazy do szkolnych zielników. Po obiedzie długi wypoczynek w cieniu drzew na leżakach i kocach. Później pisanie listów do domu, czytanie. Przed wieczorem najlepiej udają się gry sportowe: siatkówka, dwa ognie, piłka nożna. Dziewczęta i chłopcy zapełniają obszerne boiska.

Dziewczęta z 3-ej dzielnicy wcześniej skończyły zajęcia — dzisiaj przed kolacją mają się odbyć wybory do rady ich dzielnicy.

Po kolacji zostaje jeszcze sporo czasu. Dziewczęta urządzają zabawę, a część chłopców zaprasza węgierskich pionierów na wspólne śpiewy i tańce.

KOLEDZY Z DALEKIEGO BUDAPESZTU

W Podgrodziu są mili goście — węgierscy pionierzy. Najlepsi uczniowie budapeszteńskich szkół przyjechali do Polski, żeby tu spędzić wakacje. W tym samym czasie polscy harcerze pojechali do Węgier nad piękne jezioro Balaton.

Koledzy z Budapesztu czują się w Podgrodziu bardzo dobrze. Znaleźli już wśród dzieci wielu serdecznych przyjaciół.

A teraz bawią się razem. To nic, że trudno jest się porozumieć. Często wystarczy tylko uśmiech, żeby zapewnić swego kolegę z dalekiego miasta o wielkiej przyjaźni.

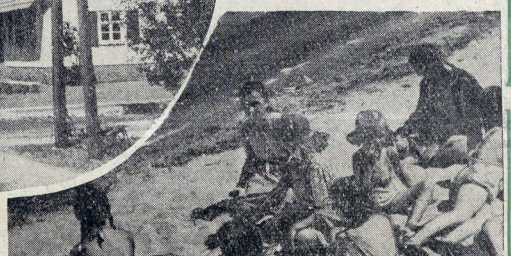

Na dworze ciemnieje. Jak złota kula wyskakuje zza drzew księżyc. Milknie harmonia, wszyscy idą do domu. Za chwilę dzieci śpią twardym, zdrowym snem w swych domkach o czerwonych dachach, śpią też drewniane konie na karuzeli z „wesołego miasteczka", tylko za wodami Zalewu Szczecińskiego morze szumi swą potężną pieśń.

j. d.

WRÓCIŁAM DO OJCZYZNY

Rząd francuski prześladuje polskich robotników za ich przekonania i miłość do Polski Ludowej. Drukujemy dziś list 11-letniej Tereski Mizerówny, która przyjechała do kraju razem z rodzicami wysiedlonymi za karę z Francji, którą uważali za drugą ojczyznę.

DROGIE KOLEŻANKI I KOLEDZY!

Dopiero trzy dni temu przyjechałam z Francji. Tam się urodziłam. Tam chodziłam do szkoły. Po polsku uczyłam się tylko w domu.

Chcę Wam opowiedzieć o swoim życiu we Francji. Tatuś pracował na kopalni 22 lata. Mamusia była przedszkolanką, uczyła dzieci języka polskiego, piosenek, tańców i zajmowała się wszystkimi sprawami, związanymi z Polską. Dlatego często do nas przychodziła policja i przesłuchiwała rodziców. Pewnego dnia rano, o 6-tej, przyszli policjanci i powiedzieli, że mamy natychmiast wyjeżdżać. Najpierw strasznie się przeląkłam. Przykro było mi odjeżdżać. Ale kiedy pomyślałam, że pojadę do Polski, bardzo się ucieszyłam. Aż tu nagle słyszę jak policjant czyta, że ja mam zostać, ponieważ urodziłam się we Francji i jestem obywatelką francuską. Zaczęłam płakać i powiedziałam, że jestem Polką i muszę wrócić do Polski razem ze swoimi rodzicami.

Podróż była bardzo ciężka. Policjanci na krok nas nie opuszczali. W Nicei przyjęli nas z maszynowymi karabinami. Później wywieźli na Korsykę. Mieszkańcy Korsyki dzielili się z nami swoim chlebem i pocieszali nas. Przyjechali też do nas opiekunowie z polskiej ambasady.

3 lipca dowiedzieliśmy się, że nareszcie jedziemy do Polski. Znów jechałam do Marsylii z uzbrojonymi policjantami. W Marsylii jeden z tajnych policjantów zatrzymał nasza znajomą, panią Tomaszewską. Zrobiliśmy bunt i postanowiliśmy bez niej nie wsiadać do wozu policyjnego. Za to pobito nas wszystkich, a mnie chwyciło dwóch policjantów i siłą wrzuciło do wozu. Wtedy przypomniałam sobie polskich żołnierzy, których poznałam zeszłego roku jak byłam na kolonii w Polsce. Śpiewali mi ładne piosenki, grali, a jak odjeżdżałam mieli łzy w oczach.

8 lipca przyjechałam do Polski. Na dworcu witano nas bardzo serdecznie. Od jednej dziewczynki dostałam piękne kwiaty. Nie wiem jak się ona nazywa, dziękuję więc Wam wszystkim.

Jestem tu bardzo szczęśliwa, chociaż tęsknię za swoją koleżanką Janką, która zostawiłam we Francji. W sierpniu pojadę na kolonie, spotkam się z dziećmi i będzie mi wesoło.

Pozdrawiam Was wszystkich

TERESA MIZERA

Swider, dom dla wysiedlonych z Francji, „ORBIS"

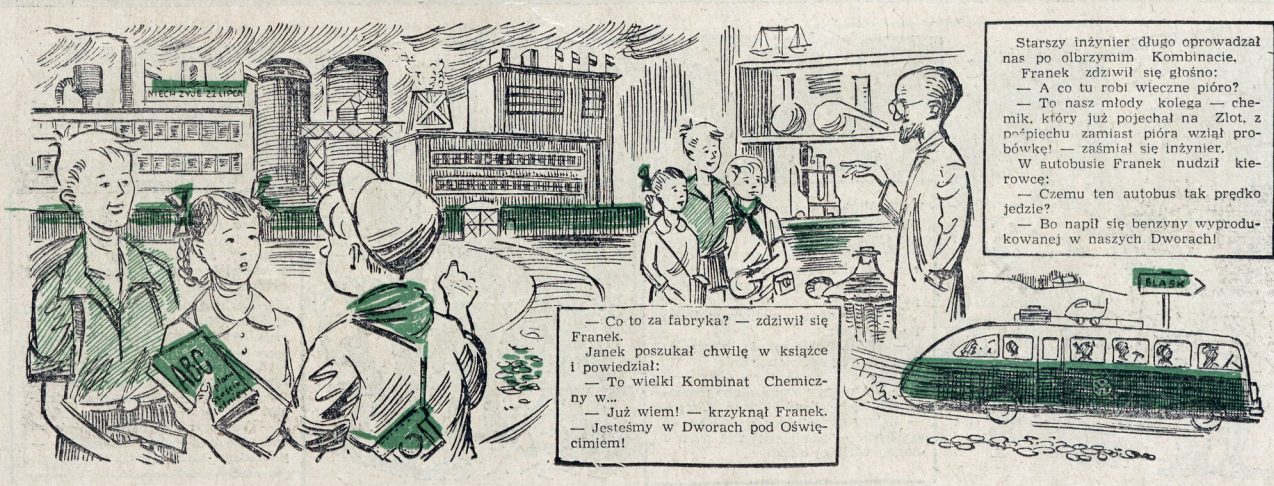

WANDA ZÓŁKIEWSKA

ilustr. M. TEODORCZYK

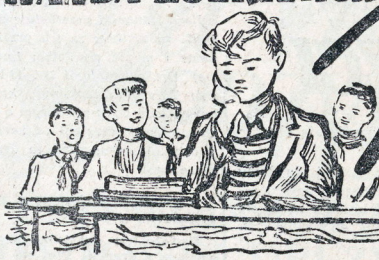

nowy

Tego roku piątej klasie przybył jeden „nowy". Taki sobie zwyczajny chłopiec z włosami koloru konopi i bladymi, trochę jakby zaspanymi oczami. Od pierwszego dnia wydawał się markotny i cała klasa orzekła, że „nowy" się nie udał. Taki jakiś nieżywy — mówiono o nim. Bez zainteresowania dowiedziano się, że przyjechał skądś z daleka, chyba aż z Borów Tucholskich, że mu zmarł ojciec — gajowy, że ma jakąś ciotkę, u której mieszka. I nic więcej. Acha, jeszcze jedno, że nazywa się Bolesław Radwański. Potrzebne, zresztą, okazało się tylko nazwisko, imienia jego bowiem nikt w szkole nie używał. Czasem, nauczyciel pan Różycki, rozpędził się i powiedział mu „Bolek", wnet jednak widząc onieśmielenie chłopca, powracał do „Radwański". A piąta klasa tego roku nie miała czasu na żadne ceregiele z „nowym", czy nie z „nowym". Zaraz na pierwszym zebraniu wychowawczym i później na zbiórce zastępu wystąpiła z wielkimi planami i postanowiła żyć szeroko i szumnie. Ogniwa zamierzały wywołać rewolucję w całej szkole, docierać do najgłębszych zakamarków próżniactwa i nieuctwa. I rzeczywiście klasa wzięła się do roboty rzetelnie i gorąco. Parę razy zwrócono się do Radwańskiego z propozycją wzięcia udziału w tym, czy owym. Radwański najpierw się bardzo zdziwił, potem zaś uśmiechnął z wielkim zakłopotaniem i powiedział nieśmiało:

— E, co wy też... Ja?

Za każdym następnym razem tak samo się dziwił, tak samo kłopotał i tak samo nieśmiało wykręcał. I żeby mu ktoś dodał odwagi, zaprzeczył, może by było inaczej. Ale jakoś nikt nic takiego nie zrobił, a po miesiącu przestano się do niego zwracać. I już się utarło, że Radwański, pierwszego września „nowy", z czasem stał się obcy. Potem, ponieważ nie wymieniano go przy pochwałach ani przy naganach, bo był cichy, nikomu w drogę nie wchodził i uczył się na trójki, zapomniano prawie o jego istnieniu.

Czasem jeszcze ktoś go zauważył.

— Odludek! Wypłosz! Śnięta ryba!

— Dajcie mu spokój — ujmowała się wtedy Zosia Walczanka. — Jemu może być przykro.

— Przykro? Jemu? — odpowiadali wykrzykujący wyzwiska. — A boż on co czuje? Nawet głowy nie odwróci, jak się do niego mówi.

Rzeczywiście. Nie odwracał głowy. Szedł dalej, nie objawiając niczym najdrobniejszego nawet poruszenia. Kto wie jednak, jak mu w tej chwili było?

Mijały dnie. Woda w Pilicy odmarzła. Olchy nadbrzeżne spęczniały sokami, a potem rozzieleniły się bogato. Ranki wstawały perliste od rosy, wieczory, jak duchówka ciepłe, pachniały akacją.

W taki wonny wieczór majowy spora gromadka dzieci szkolnych zebrała się nad rzeką. Piłki fruwały nad głowami, po murawie migały opalone nogi. Właśnie ustalono rekord w biegu z przeszkodami.

— Stefek! Stefan! Goń, nie daj się!

— Stefek go dogoni! O, widzisz? Już się prawie z nim równa!

— A figę! Wcale się nie równa i nigdy się nie zrówna...

— Widzisz go, jaki pewny. A ja ci mówię...

— Co ty mi tam możesz powiedzieć! Uwaga, Maniek, co to?

W wesołą wrzawę wdarł się naraz przeciągły głos syreny. Zajęczał i złapawszy dech rozjęczał się na dobre.

— Co to? Tartak o tej porze?

— Co to? — rozlegało się ze wszystkich stron. — Pali się, czy co?

Ale syrena nic więcej nie wyjaśniła, tylko zawodziła nadal bez przerwy.

Pod tartakiem najpierw zakurzyło się, a potem z kłębów pyłu wychynął stróż nocny biegnąc co sił w nogach. Biegł wołając z przerażeniem:

— Pali się! Lachowicki las się pali!

Stefek spojrzał na Wacka.

— Wacek, słyszysz?

— Słyszę!

— I co ty na to?

— A bo ja wiem? Trzeba by chyba nauczycielowi powiedzieć.

— Ja pędzę po pana Różyckiego — zaofiarowała się Zosia Walczanka.

— Leć, tylko na jednej nodze, a my zbieramy harcerzy — rzucił Stefek. — Wacek, rób zbiórkę!

Wieść biegła lotem błyskawicy z ust do ust. Pali się! Lachowicki las się pali. A przy nim jest przecież młoda, świeżo wyhodowana szkółka. Pytanie, czy szkółka nie jest także zagrożona? I w ogóle cały las. Ach jej! Co to będzie, co to będzie? Zanim straż pożarna przybędzie z Tomaszowa, jakie szkody poczyni pożar?

Harcerze nadbiegali ze wszystkich stron. Kogo jeszcze brak? Nie ma czasu liczyć. Pan Różycki już biegnie wielkimi krokami. Za nim drobi Zosia Walczanka.

— Łopaty, motyki, bierzcie z domu, co kto ma! Trzeba będzie przekopywać rowy, żeby umiejscowić ogień. I kubły, weźcie także kubły — bezładnie posypały się polecenia.

W parę minut wszystko było gotowe. Drogą do lasu lachowickiego sypnęła się gromada dzieci z nauczycielem na czele. Wszystkie oczy spoczywały niecierpliwie na gęstym słupie dymu, który zwolna wstawał nad lasem. Ciemny słup rozżarzał się czasem pękiem iskier wyrzucanych w górę. Słup to różowiał, to ciemniał, po chwili zaś zmienił kształt. Pożar się najwidoczniej rozszerzał, bo dym niósł jakby dalej, w prawo.

— Dziewuchy, wyciągajcie nogi! — denerwował się Stefek. — Proszę pana — krzyczał do nauczyciela — co będzie, jeśli nie damy sobie rady?

— Nie martw się przed czasem — uspakajał nauczyciel. — Zresztą nie będziemy tylko my. Ludzie biegną ze wszystkich stron!

Rzeczywiście. Drogą przesuwały się liczne grupy ochotników do ratowania lasu.

— Pali się blisko torów kolejowych. Ogień idzie od zagajnika! — zawołał nagle pan Różycki.

Wypadli w pole. Biegli teraz wąskimi ścieżkami potykając się na nierównościach i raz wraz wpadając w bruzdy. Słabsi biegacze pozostali nieco w tyle. Na czoło przed wszystkimi wybiegła czwórka: nauczyciel, Stefek, Wacek i Zosia. Oni pierwsi dopadli do lasu.

...Pali się blisko torów kolejowych. Ogień idzie od zagajnika! — zawołał nagle pan Różycki.

— Chłopcy — krzyknął pan Różycki, gdy nareszcie znaleźli się w pobliżu ognia. — Ostatnia chwila, by ratować szkółkę! Nie dopuścić ognia do tych sągów, widzicie? Wyschnięte drzewo zajęłoby się w jednej chwili. Tu trzeba kopać! — Wskazał miejsce.

Na Śląsku, w Hucie „Kościuszko" rozmawialiśmy z młodymi hutnikami. Opowiedzieli nam, że ich brygadzista Henryk Kowol w ciągu czterech dni dał aż trzy wytopy żelaza!

— Jak on zdążył? — zapytał Franek.

A Janek zaraz wytłumaczył mu po swojemu:

— Wbijże sobie raz do głowy, że to wytop szybkościowy!

*

— Nie mogę z wami długo rozmawiać — powiedział Henryk Kowol. — Żelazo czeka! Ale spotkamy się na Zlocie — wtedy opowiem wam o naszej wielkiej hucie!

Janek zrobił nam zdjęcie z Młodymi Przodownikami kopalni „Dymitrow". Aż 9 brygad młodzieżowych tej kopalni osiąga stale do 210 procent normy!

— Jak się nazywacie, kolego? — spytał Franek jednego z górników. — Chcemy wam przesłać zdjęcie!

— Nazywam się Henryk Szmatloch, pracuję na dole przy kombajnie górniczym. Ale zdjęcia posyłać nie musicie — spotkamy się przecież na Zlocie!

— To musi być bardzo fajnie — tak pracować przy kombajnie! — powiedział zaraz Janek.

Tymczasem nadbiegła reszta dzieci. Stawiła się prawie cała drużyna.

— Zbiórka! Zbiórka! — niosło się po lesie.

Z prawa szedł żar. Ogień trzaskał wesoło jak w wielkim kominie podsycany szczapami żywicznymi. Wysoko, nad lasem wstawała różowa łuna.

— Stefan! Obejmujesz z zastępem odcinek wzdłuż zagajnika! Gotowe? To jazda!

— Wacek! Obejmujesz z zastępem odcinek na lewo od zagajnika, już! Kopać!

— Zosia! — Tu! Tu, do nas! Mania!!!

W ruch poszły łopaty, motyki, noże, szyzoryki. Robota posuwała się naprzód. Piędź po piędzi harcerze wyrywali groźnemu żywiołowi las. Jeszcze tu, jeszcze tam kopać, ścinać. Napływały grupy ratujących. Mężczyźni, kobiety, dzieci wszystko ruszyło do ataku. Toż to las! Opał, na zimę budulec, osłona przed wichrem i kurzem, obrona przed suszą! Las! Ratujcie las!

— Dalej nie posuwać się ani na krok — krzyczał pan Różycki, wskazując zarzewie ognia. — Tej części lasu już nie uratujemy.

Nie było co się spierać. Żar bił od tego miejsca taki, że całe ciało zdawało się schnąć, choć ogień był przecież jeszcze dość daleko.

— Ani kroku dalej! — ostrzegał nauczyciel.

— O rety, tam musi być strasznie! — przeraził się nie na żarty Stefek.

— Upał i duchota nie do wytrzymania! Stefek, biegnijmy do tyłu, tu się można udusić! — wrzeszczał Wacek.

Cofnęli się. Pożar zdawał się następować. Nie, to wiatr niósł ze sobą swąd, dym i iskry.

I nagle kiedy Stefek i Wacek zatrzymali się patrząc z najwyższym przerażeniem przed siebie, w kłębowisku dymu i iskier coś poruszyło się.

— Stefek, widziałeś?

— Widziałem. Tam ktoś jest.

— Oszalałeś? Kto by tam wytrzymał? Niemożliwe, niemoż...

Wacek nie domówił słów do końca, bo w tejże samej chwili z burej chmury wysunęły się dwie ręce wyciągnięte przed siebie, jakby wzywające pomocy i na jeden moment wychynęła płowa czupryna. Do uszu przerażonych chłopców dobiegł zduszony krzyk.

— Chłop-cy! Po-móż-cie mi! Ra-tuj-cie las!

I znów wszystko umilkło i jak sen znikło. Ale Wacek już teraz wiedział na pewno, że w chmurze dymu ktoś jest i nie może się wydostać.

— Proszę pana! — targał za ramię nauczyciela Wacek. — Tam jest człowiek! Widziałem... I Stefek widział... On zginie! Na pewno!...

Zdawało się, że Wacek nie wytrzyma i poleci wprost w samo niebezpieczeństwo, ale nauczyciel schwycił go za rękę.

— Stój! Ani się waż!

I sam rzucił się naprzód. W chmurze znów błysnęła twarz, znów zamachały ręce. Gdy pan Różycki zatrzymał się w pół drogi, z chmury wynurzyła się cała postać. Niewielka. Nie większa od Stefka, taka jak Wacek. Postać zakręciła młynka w miejscu i runęła.

Pan Różycki skoczył krzyknąwszy głośno. Stefek i Wacek na oślep pobiegli przed siebie, Zosia porwała się za nimi. Razem przypadli do nauczyciela, który pochylony podnosił z ziemi kogoś, kto przed chwilą upadł.

— Żyje? — pytała Zosia — kto to?

— Żyje. To Radwański!

Nauczyciel niósł go ostrożnie. Właśnie składał chłopca na miękkiej murawie, gdy cały las aż zaniósł się głosem syreny alarmowej. Gdzieś w dali warczały już motory. Nadjeżdżała straż pożarna. Radwański leżał nie poruszając się. Dzieci otoczyły go kołem. Chłopiec ściskał w zaciśniętej dłoni ułamane drzewce łopaty. Kurtka na nim była podarta, spodnie u dołu zszarpane na strzępy. Na prawym policzku występowała wielka czerwona rysa, jak smagnięcie ogniem. Bose nogi Radwańskiego podobnie jak i dłonie — całe w bąblach. Nad zamkniętymi oczami rudo rozpościerały się osmolone brwi.

— Co mu jest? Skąd się tu wziął? Czy to na pewno Radwański? — dopytywali niektórzy.

— A kto? Nie widzisz, czy co? — odparowywał bardzo czymś zmieszany Stefek.

Straż pożarna objęła teraz komendę nad gaszeniem pożaru: jakiś strażak dziękował panu Różyckiemu.

— Dzielnieście się tu spisali. Ogień umiejscowiony. Brawo, chłopaki. Co to? — Zaniepokoił się widząc leżącego na ziemi Radwańskiego. — Czy był jakiś wypadek?

Drogą przez las ktoś biegł i nawoływał rozpaczliwie.

— Bolek, Bolek!

— Kogo to wołają? — spytała Zosia.

— O, gajowy! — rozpoznał ktoś nadbiegającego.

— Dzieci! Czy nie było tu Bolka Radwańskiego? — głos gajowego był pełen troski.

...Nauczyciel niósł go ostrożnie.

— Bolka?... Radwańskiego? Tak. Radwański tu leży... O tu, na trawie... — informowano zewsząd.

Gajowy krępy, mocny człowiek przypadł do leżącego.

— Bolek, Bolek — mówił cicho jak do chorego dziecka. — Otwórz oczy, proszę cię! Mój Boże, taki chłopak, taki dobry chłopak — powtarzał bezradnie.

Wziął delikatnie poparzone ręce chłopca w swoje wielkie dłonie i patrzał na nie w osłupieniu.

— Ciągle w lesie — mówił urywanym ze wzruszenia głosem. — Wszystko robił razem ze mną. Żywicował. Szkółkę zakładał... Jak on kochał las! I żeby teraz ten las go ukrzywdził...

Powieki chłopca drgnęły i uchyliły się.

— Oduryzył go dym — powiedział z ulgą pan Różycki. — Chce mówić.

— Wojciechu — z trudem szeptał Bolek. — Co ze szkółką?

— Uratowana. I las gaszą. Leż, leż spokojnie. Widzisz, dzieci szkolne do ciebie przyszły. Twoi koledzy i koleżanki. Widzisz?

Bolek uśmiechnął się nieśmiało.

Gajowy uśmiechnął się też.

— Takie to ciche, nieśmiałe — powiedział — a całe miasteczko na nogi postawił. I do tartaku poleciał, i do straży dał znać. Ach, ty paliwodo — gderał uszczęśliwiony. — W ogień skaczesz, żeby las ratować? Ojcowska i dziadowska krew w tobie płynie. Krew gajowych z Tucholskich Borów. Dziadek w ziemi, ojciec w ziemi, a ty po nich tak do lasu ciągniesz. Ej, paliwodo, paliwodo!

A Bolek krzywił się z bólu i uśmiechał na przemian. Wreszcie przerwał gajowemu zakłopotany.

— Taka mała sprawa, a wy, Wojciechu, tak mówicie, jakby nie wiem co...

— No, no! Gorące serce, to wcale nie jest taka mała sprawa — spierał się Wojciech. — Już ty mnie nie ucz, za stary jestem.

Stefek stał i słuchał. Po twarzy jego przelatywały łuny rumieńców. Zagryzał mocno wargi, myślał nad czymś.

— Stefek — dał mu sójkę w bok Wacek. — I kto to mógł wiedzieć, że taki Bolek Radwański może być bohaterem?

— Powinniśmy byli wiedzieć — rzekł cicho. — To był nasz harcerski obowiązek.

Zosia stanęła obok nich. W milczeniu przytaknęła ruchem głowy. Potem nagle pochyliła się nad Bolkiem Radwańskim.

— My ciebie Bolek, zaniesiemy do domu — powiedziała. — Weźmiemy cię na ręce...

Bolek znowu uśmiechnął się. Najpierw do Wojciecha, potem do Zosi. Ten uśmiech upewnił wszystkich, że coś bardzo trudnego zostało w tej chwili załatwione.

Łuna nad lasem wygasała, ludzie pomału rozchodzili się do domów. Na niebo wschodziły gwiazdy. Pilica zanosiła się rechotem żab daleko, daleko! W serca ludzkie wstępowała otucha i pogoda.

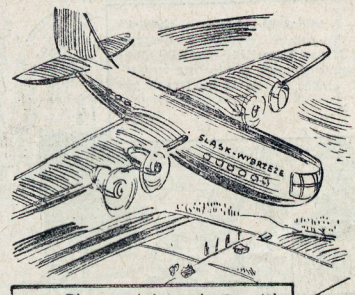

— Dlaczego jedne pola są wielkie, a drugie takie małe i podzielone miedzami? — pytał w samolocie Franek.

— Te wielkie to pola PGR-ów albo spółdzielni produkcyjnych! — odpowiedziałam.

*

W Gdańsku poszliśmy od razu do stoczni.

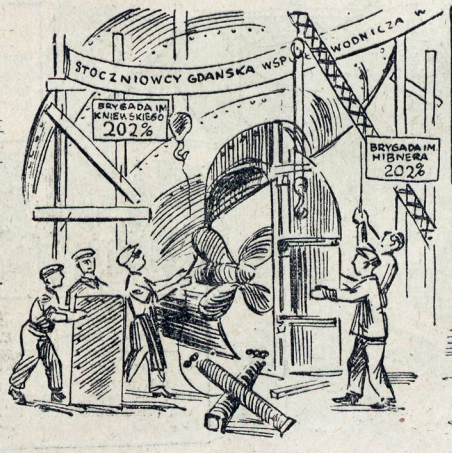

— Gdzie te statki, przy których pracował Maluk i Frankowski? — zapytałam starego rybaka. — Miały być przecież gotowe na 22 lipca!

— Statki? Już na morzu! — roześmiał się rybak. — Jeden od 10 dni, a drugi od 5. Nasi chłopcy skończyli je przed terminem, a sami pojechali już na Zlot!

Na zielonym froncie

Zbiórka Zielonego Frontu otwarta. Pierwszy zabiera głos nasz gość — Minister Rolnictwa. Potem brygady z różnych stron kraju kolejno opowiadają o swoich zajęciach.

WYPRAWA PO ZIOŁA

Pierwszą wakacyjną wycieczkę urządziliśmy w niedzielę 29 czerwca. Wielka była nasza radość, gdy dowiedzieliśmy się, że razem z nami pójdą koledzy z ZMP. Wyruszyliśmy w drogę. Za wsią podzieliliśmy się na trzy grupy.

Spotkanie miało nastąpić w ruinach zamku odrzykońskiego o godz. 17-ej. Nasza grupa miała trasę najdłuższą, bo prowadzącą przez Trzy Prządki. Mieliśmy zbierać zioła i niszczyć napotkane po drodze chwasty. Dostaliśmy duży druciany kosz i trzeba było porządnie popracować, aby go napełnić. Byliśmy bardzo zmartwieni, bo w żaden sposób nie mogliśmy się natknąć na nasze zioła.

Po półgodzinnym marszu, gdy weszliśmy w ciemny jar, nasza przewodniczka Fela znalazła mnóstwo podbiału i skrzypu. Spadł nam ciężar z serca. Z zapałem zabraliśmy się do pracy i w niecałą godzinę kosz nasz i teczki były pełne. Z dumą kolejno dźwigaliśmy naszą zdobycz, śpiewając wesoło piosenkę o „Zielonym Froncie". Droga była coraz trudniejsza, gdyż zbliżaliśmy się do Trzech Prządek. Co chwilę natrafialiśmy na jakiś wąwóz lub potok i co raz to piękniejszy widok mieliśmy przed sobą. Utworzyliśmy łańcuch i jak turyści przy pomocy liny, tak i my trzymając się za ręce, wciągaliśmy się kolejno po stromych zboczach. Byliśmy trochę zmęczeni, dokuczał nam głód i pragnienie. Wreszcie dostaliśmy się do Trzech Prządek. Tutaj urządziliśmy dziesięciominutowy postój.

Z wysokich skał widzieliśmy jak na dłoni naszą Korczynę, Krosno, Jasło, Rymanów, Duklę i inne okoliczne wsie i miasteczka. Nigdy nie przypuszczaliśmy, że mieszkamy w tak pięknych stronach. Nie można było jednak za długo odpoczywać, bo pozostało nam tylko pół godziny czasu.

W zamku zastaliśmy już obydwie grupy. Pełno było gwaru przy powitaniu i każdy miał coś do powiedzenia. Z podziwem patrzano na nasz kosz. Uzbierano sporo dziurawca i kopytnika, ale żadna grupa nie mogła poszczycić się tak dużym plonem. Największą jednak niespodzianką było przyjęcie przygotowane dla nas przez kolegów z ZMP. Jadzia Płaza i Janka Gonet, obie w białych fartuszkach czekały na nas ze smacznie przyrządzonym podwieczorkiem. Po tylu trudach smakował nam wyśmienicie. W czasie jedzenia pięknie przygrywał na akordeonie specjalnie zaproszony przez zetempowców Janek Gazda z drużyny harcerskiej z Odrzykonia. Podzieliliśmy się także z resztą koleżanek uzbieranymi jagodami. Potem usiedliśmy na wysokim murze zamku, a kierownik naszej szkoły ob. Półchłopek opowiedział nam ciekawe legendy o zamku i Trzech Prządkach.

Piękna była nasza wycieczka. Zebraliśmy na niej 8 kg ziół. Wykonaliśmy część naszego czynu złotowego i poznaliśmy jeszcze jeden piękny zakątek naszej ojczyzny. Wycieczki takie będziemy urządzać często.

według korespondencji
Janki Pelczar i Marysi Gazda
z Korczyny pow. Krosno

KOCHANE DZIECI!

Z prawdziwą radością dowiedziałem się o Waszej pracy w brygadach „Zielonego Frontu". Cieszę się, że i Wy także za przykładem swoich rodziców, za radą i przy pomocy swoich nauczycieli oraz starszych kolegów z ZMP podjęłyście walkę o wyższe plony z hektara.

Wasza praca przy niszczeniu chwastów, zwalczaniu stonki ziemniaczanej i innych szkodników roślin, przy sadzeniu drzew i krzewów, zakładaniu i pielęgnacji ogródków i poletek doświadczalnych — jest bardzo pożyteczna. Stajecie się przez to prawdziwymi, najmłodszymi gospodarzami naszego kraju. Wasz trud także przyczynia się do tego, aby nasza Ludowa Ojczyzna była coraz piękniejsza, coraz zamożniejsza.

Przez podejmowanie prac użytecznych dla rolnictwa wykonujecie wskazania naszego ukochanego Prezydenta Bolesława Bieruta, wielkiego Waszego Przyjaciela, który swoją pracą dla kraju daje nam najlepszy przykład.

Harcerze i harcerki! Chłopcy i dziewczynki!

Nie ustawajcie w swojej pracy. Prowadźcie ją i nadal z takim samym zapałem, jak ją rozpoczęliście. Niech Wasz „Zielony Front Dobrych Urodzajów" rozwinie się jak najszerzej. Niech obejmie wszystkie dzieci wiejskie w całym kraju i dzieci z miast, przebywające na koloniach.

Pozdrawiam Was gorąco i życzę Wam z całego serca jak najlepszych wyników Waszej pracy.

Minister Rolnictwa — JAN DĄB-KOCIOŁ

U WDOWY PRZEŚLICY

Godzina czternasta. Wszystkie dziewczęta z pierwszej brygady zebrały się na placu szkolnym. Dzień był słoneczny, bez wiatru. Ustawiłyśmy się w zwarty szereg i ruszyłyśmy ze śpiewem do Pieczonóg, gdzie mieszka ob. Prześlica. Gospodyni wyszła nam na spotkanie. Przywitała nas serdecznie i zaprowadziła na pole. Brygadzistka policzyła grządki i podzieliła pracę pomiędzy brygady. Zaczęłyśmy pracować. Gospodyni pracowała razem z nami. Praca szła nam szybko i wesoło. W ciągu jednej godziny wypieliłyśmy 20 grządek cebuli, z której wyrwałyśmy około 6 tysięcy chwastów. Potem poszłyśmy pleć fasolę. Przy pracy śpiewałyśmy wesołe piosenki. W przeciągu trzech godzin opieliłyśmy 54 grządki fasoli. Najlepiej pracowały Halina Łój i Ola Mazurek. Po skończeniu pracy ob. Prześlica powiedziała:

— „Dziękuję wam dziewczęta za pomoc, prosiłabym was bardzo, żebyście pomogły mi później w pracy przy żniwach."

Obiecałyśmy, że pomożemy i ze śpiewem ruszyłyśmy w drogę powrotną. Po powrocie grałyśmy w dwa ognie i bawiłyśmy się w wesołe gry na szkolnym boisku. Byłyśmy bardzo zadowolone z wykonanego zadania.

IRKA KWIECIEŃ
Gruszów — Imbramowice
pow. Miechów

ZA PRZYKŁADEM GRUSZOWA

Przyjemnie i wesoło jest spędzać wakacje na wsi. Kiedy przeczytaliśmy w „Świecie Młodych", że harcerze z Gruszowa przystąpili do walki z chwastami, to i my za ich przykładem zorganizowaliśmy podobną brygadę. Brygada nasza na razie jest nieduża, liczy 14 osób. Ponieważ mieszkamy daleko od siebie, pracujemy na własnych polach. Żeby móc sprawdzić co każdy harcerz zrobił, prowadzimy dzienniczki, w których zapisujemy, ile kto z nas wyrwał chwastów.

Dzienniczki te pokazujemy na zbiórkach, które odbywają się w niedzielę. Przodownikom tygodnia wręczamy dyplomy zrobione przez nas samych. Przodownikami tego tygodnia byli: Jurek Zatorski i Staszek Budny.

Wszyscy razem opiekujemy się założoną przez nas szkółką. Odwiedzamy ją raz w tygodniu, obserwujemy jak rosną nasze sosenki, wyrywamy z pomiędzy nich chwasty i często okopujemy. Prócz tego wyznaczamy dyżury do podlewania ogródka szkolnego. Zbieramy także sporysz.

Na razie praca ta idzie nam bardzo wolno, gdyż nie chcemy niszczyć zbóż. Ale jak tylko nasi rodzice zbiorą zboże skończymy zbiór sporyszu.

Wesoło płynie czas w naszej brygadzie wakacyjnej.

Eliza Kochańska kl. VII
Chodkowo, pow. Maków Maz.

BRYGADY Z CAŁEGO KRAJU DONOSZĄ:

Tarnowskie Góry: Zbieramy rośliny do alpinarium.

Muszkowice, woj. wrocławskie: Pomagamy przy siankosach.

Solec n. Wisłą: Pracujemy w ogródku szkolnym.

Dzierżążno, woj. gdańskie: Zbieramy zioła, przygotowujemy szkielety żab i ryb dla szkolnej pracowni.

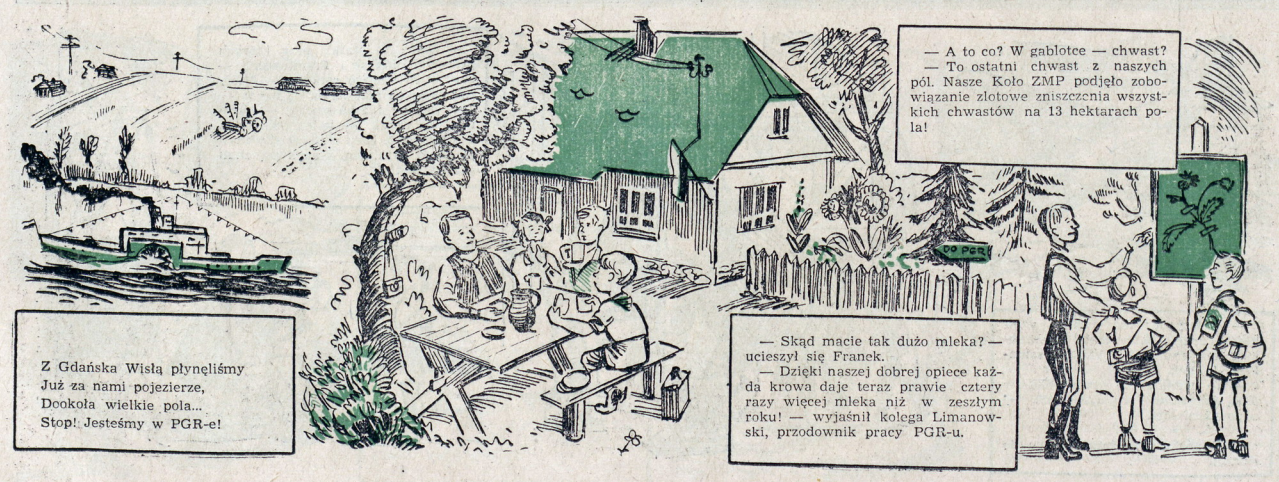

Marzenie i rzeczywistość

OPOWIADANIE

N. BIELINOWICZ

...Ja zawsze mówię prawdę. Mogą to potwierdzić dzieci ze 186-tej szkoły, a przede wszystkim Żenia Krywcow, choć jeden jedyny raz w życiu skłamałem właśnie jemu. A było to tak.

Rano ojciec oznajmił, że jedziemy do cioci Paszy: on na miesiąc, a ja na całe lato. Ach, jak się ucieszyłem! Już w wyobraźni widziałem Wołgę taką szeroką przy ujściu, że drugi brzeg wydaje się jakby osnuty siną mgłą, i pszenicę falującą na wietrze jak złote jezioro, przypomniał mi się dziwny, gorzkawy zapach piołunowej trawy nagrzanej słońcem...

Ach, jak się ucieszyłem!...

I wreszcie ciocia Pasza! Wspaniała ciocia — znakomita traktorzystka! Na pewno będę z nią jeździł wiejskim wozem... A może nauczy mnie prowadzić traktor, albo przewiezie po stepie motocyklem?

Na drodze stoi samochód. Szofer mocuje się z motorem, coś tam naprawia...

Nie posiadałem się z radości. Przybiegłem do szkoły, opowiadam kolegom, że jadę tam, gdzie byłem trzy lata temu, do Nowo-Gremiaczego, do cioci Paszy i tak dalej i tak dalej. Wszyscy mi zazdroszczą, a Żenia uśmiechnął się drwiąco i powiedział:

— Phi, Nowo-Gremiaczy! To obok nas. I cóż tam jest nadzwyczajnego? W całej wsi nie ma ani jednego drzewka. Tylko dwa krzaki łozin sterczą jak miotły. Byłem tam cztery lata temu i wszystko widziałem na własne oczy. Nie to co nasze Pieski! Tam są sady, coprawda małe, ale zawsze sady. A jakie rześkie powietrze! — I zaczął mnie drażnić, zaczął wychwalać te swoje Pieski.

Zrobiło mi się bardzo przykro. Przypomniałem sobie, jak na wołżańskim brzegu, przy płonącym ognisku ciocia Pasza marzyła razem z dziewczętami o tym, jaki to one posadzą w przyszłości owocowy sad. Powiedziałem:

— Byłeś w Nowo-Gremiaczym cztery lata temu, więc skąd możesz wiedzieć, jak tam teraz jest? Tam teraz wyrósł nad Wołgą nowy sad. Wielki, jak las. W pobliżu sadu kąpią się dzieci, w sadzie rosną jabłonie, winogrona, wiśnie i... tryska fontanna.

Koledzy wiedzą, że ja nigdy nie kłamię, więc tym razem też mi uwierzyli. A ja opowiadam i opowiadam... I nie mogę się zatrzymać, tak jakbym leciał na saniach z góry na dół. Mówię gorąco, z żarem, a robi mi się coraz chłodniej... Powiedziałem wszystko to, o czym marzyła ciocia Pasza, tylko z tą „małą" różnicą, że mówiłem tak, jakby to było już teraz, naprawdę.

Ale Żenia nie wierzył. Zaklinał się, że wszystko to sam wymyśliłem. Koledzy zaczęli mnie bronić, a ja... milczę. Nagle podszedł do mnie Wasia Wodowozow i mówi:

— Ja też jestem ze stepowych stron. Jak pojadę na wakacje, to namówię tamtejsze dzieci, żeby założyły przy szkole sad. Wierzę ci we wszystkim — mówił — tylko, przyznaj się, tę fontannę to już chyba wymyśliłeś...

Nic Wasi nie odpowiedziałem, machnąłem tylko ręką. Ale obraziłem się na niego. Przecież ciocia Pasza wyraźnie pisała, że we wsi założyli wodociągi i że na ulicy bije fontanna. Ta fontanna była jedyną prawdą w moim opowiadaniu...

Z Żenią też przestałem rozmawiać. Bałem się, że zacznie wypytywać o sad...

Wreszcie nadeszły wakacje. Pojechałem z ojcem do cioci Paszy. W pociągu słyszałem przez sen, jak ojciec mnie chwalił:

— Prawdomówny chłopak z mego najstarszego syna! Tylko gorąca głowa.

Kocham ojca i bardzo cenię jego zaufanie. Cóżby to było, gdyby się dowiedział o mojej rozmowie z Żenią...

Rano wysiedliśmy z pociągu. Czekała nas teraz podróż samochodem po stepie. Ciocia Pasza wyjechała na spotkanie swoim autem. Ciocia Pasza siadła za kierownicą, ja obok, a ojciec z tyłu. Pojechaliśmy... Rozglądałem się z ciekawością na wszystkie strony. A stepu nie poznasz — wokoło same młode lasy...

Do Nowo-Gremiaczego zostało nam jeszcze dziesięć, piętnaście kilometrów, gdy nagle widzimy: na drodze stoi jakiś samochód. Szofer mocuje się z motorem, coś tam naprawia, koło niego stoi odwrócony do nas plecami chłopiec.

— A, to ty Krywcow! — krzyknęła ciocia Pasza. — Któż to jest z tobą? Syn przyjechał na wakacje? Puść go z nami. Później wstąpisz i zabierzesz.

I w aucie obok nas siadł chłopiec. Oczywiście, domyślacie się — był to — ...Żenia Krywcow.

Czułem się bardzo nieswojo: oto za chwilę, za kilka minut przyjedziemy do wsi, a tam nie ma żadnego sadu. Rozumie się Krywcow wszystko wygada. I ojciec, i ciocia Pasza zobaczą, że jestem kłamcą, a potem i w szkole się dowiedzą... Nie, lepiej o tym nie myśleć.

Samochód zatrzymał się przed niedużym, białym domkiem.

— No, chłopcy — mówi ciocia Pasza — śniadanie będzie za pół godziny. A teraz marsz na Wołgę! Kąpać się!...

Żenia spojrzał na mnie zwycięsko. Z mojej zmieszanej miny odgadł wszystko. Jeszcze zapytał złośliwie:

— A gdzie jest ten wasz szkolny sad? Chciałbym się wykąpać w pobliżu sadu.

— Jakiego sadu? — zdziwił się ojciec. — Nie przypominam sobie tu żadnego sadu.

Ja znowu robię się ledwo żywy ze strachu i ze wstydu. A ciocia Pasza jak się nie oburzy:

— Co, nie ma sadu? Kiedyś i lasu też nie było, a teraz jest. Czyżbyście nie zauważyli naszego sadu? Wejdźcie na wzgórek, zobaczycie, jak tam nad Wołgą się zieleni.

Myślałem, że ciocia żartuje, ale sad naprawdę zieleniał. Nie zauważyliśmy go z początku, gdyż drzewa były jeszcze małe i nie wysokie, a w dodatku zasłaniał je dwupiętrowy budynek szkoły. Nie pamiętam, co wtedy robiłem z radości, zdaje się, że waliłem Żenię po plecach, skakałem, śpiewałem, krzyczałem.

Tam, gdzie dawniej była sucha, smutna pustynia, teraz rosły krzaki białych i czarnych porzeczek, miczurinowskie krzyżówki z prążkowanymi, mięsistymi jagodami, krzaki pachnących malin, rzędy jabłoni i wiśni, a grządki mieniły się barwnymi kwiatami.

Jednym słowem sad był o wiele piękniejszy niż sobie wymyśliłem. Wśród zieleni biły wysokie fontanny i bryzgi wody padały w baseny obłożone białymi kamieniami...

Muszę wam powiedzieć, koledzy, że byłem zupełnie oszołomiony. A Żenia także. Choć zauważyłem, że przez cały czas wściekle wszędzie nos, widocznie szukając, do czego by się tu jeszcze przyczepić. W końcu znalazł.

...Czyżbyście nie zauważyli naszego sadu? Wejdźcie na wzgórek.

— Coś ty nas okłamał? — powiedział — przecież tu bije nie jedna fontanna, a aż trzy.

...A kiedy jesienią wróciliśmy do szkoły, Żenia wszystkim opowiedział, jaki to wspaniały sad wyrósł u nas w Nowo-Gremiaczym.

tłum. M. Tomaszewska
rys. M. Teodorczyk

ZESPÓŁ HARCERSKI z ŁODZI zaśpiewa na Zlocie

Po południu grupa sopranów rozpoczyna zajęcia...

Od zachodu nadleciał wiatr. Zaszeleścił w igłach nagrzanych słońcem pachnących sosen, potargał płótna namiotów i podchwycił słowa piosenki śpiewanej wysokimi, chłopięcymi głosami:

— Oj la, oj la, oj la la, oj la, oj la la.

Opaleni na brąz chłopcy — grupa drugiego głosu — siedzą na werandzie baraku o wielkich oknach i z napięciem wpatrując się w grającego na harmonii instruktora kolegę Kaźmierczaka, ćwiczą przyśpiewkę nowej piosenki. Kolega Kaźmierczak, odrzucając co chwila spadające na czoło włosy, mocno wybija nogą takt:

— Cztery i, pięć i, sześć i, stop. Końcowe la śpiewamy nie do góry, a w dół. No, jeszcze raz!

— Tra, ra, ra, ra... — Las wypełniło nagle srebrzyste wezwanie fanfar. Chłopcy zerwali się. Zbiórka!

— Ech, Antek, co ty wyprawiasz! — krzyczy ktoś w biegu — fałszowałeś jak rozstrojony fortepian. I ty chcesz być w naszym zespole? Przecież my na Zlot jedziemy, rozumiesz?

JAK TO SIĘ ZACZĘŁO...

Dzieci z siódmej klasy szkoły podstawowej nr 102 w Łodzi bardzo lubiły śpiewać. Na wszystkich przerwach na boisku czy na korytarzach szkolnych rozlegały się piosenki. Wkrótce cała szkoła dołączyła się do „chóru" z siódmej klasy. Ale wtedy jeszcze nie był to prawdziwy chór.

Któregoś dnia w październiku ubiegłego roku do klasy siódmej przyszedł po lekcjach młody nauczyciel — właśnie kolega Kaźmierczak i powiedział:

— Jeżeli chcecie, nauczę was na dwa głosy tej waszej ulubionej piosenki radzieckiej.

I tak się zaczęło.

Najpierw śpiewała tylko siódma klasa, a potem z klas piątej, szóstej i siódmej kolega Kaźmierczak utworzył zespół śpiewaczy.

Z DWÓCH — JEDEN

Świetlica Łódzkich Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Szymańskiego... Na scenie nasz znajomy zespół.

Robotnicy z Zakładów i dzieci — to starzy przyjaciele, bo właśnie ta fabryka opiekuje się szkołą nr 102. Dla swoich dorosłych przyjaciół chór przeznaczył swój pierwszy występ.

Mniej więcej w tym samym czasie chór innej łódzkiej szkoły, szkoły podstawowej nr 11 urządzał także swój pierwszy występ dla dzieci ze szkoły TPD nr 6. Był to rok 1951.

Potem obydwa zespoły występowały coraz częściej: w zakładach produkcyjnych, w innych szkołach, w radio, we wsiach. Ale nie znały się jeszcze. Dopiero przy końcu maja 1952 roku na ogólnołódzkich przedzlotowych eliminacjach zespołów artystycznych dzieci spotkały się. Oba zespoły zostały wybrane na Zlot. Połączono je w jeden duży śpiewaczy zespół pod kierownictwem kolegi Kaźmierczaka i razem już pojechały na przedzlotową kolonię do Dąbrówki — Lasu koło Łodzi.

„ŻEBY NA ZLOCIE WYPAŚĆ JAK NAJLEPIEJ..."

...Jakże przyjemnie jest na kolonii w Dąbrówce!... Wspaniałe, orzeźwiające powietrze, namioty na leśnej polance, uroczyste apele przy dźwiękach fanfar i werbli, nocne warty. I ciekawe zajęcia:

— Daj tę siekierę, Edek! Ale się guzdrasz!... Musimy dzisiaj przed próbą wykończyć boisko. — Przewodniczący rady zastępu IV, Janusz Pietrzak niecierpliwie popędza kolegów.

Janusz jest członkiem zespołu śpiewaczego, a jednocześnie bierze czynny udział w innych pracach kolonii. Na kolonii w Dąbrówce — Lesie oprócz chóru są jeszcze delegaci na Zlot z łódzkich szkół. Razem duża gromada — 190 dzieci.

Przed wieczorem odbywa się próba. Płyną jedna za drugą piosenki, te, które dzieci zawiozą na Zlot — ludowe piosenki z Mazowsza i piosenki radzieckie.

Tuż obok siebie siedzą Mirka Nogówna i Basia Łąpiesianka. Obie zdały do szóstej klasy, nie mają ani jednej trójki i obie bardzo lubią ludowe piosenki. Tego dnia Basia śpiewała trochę nieuważnie. Mirka patrzyła na nią oburzonym wzrokiem i podczas przerwy powiedziała z wyrzutem:

— Wiesz przecież, że musimy porządnie ćwiczyć, żeby na Zlocie wypaść jak najlepiej, a ty co...

Wszystkie dzieci myślą, mówią i marzą o Zlocie, i starają się śpiewać najlepiej jak tylko umieją.

Pojadą na Zlot dobrze przygotowane.

M. T.

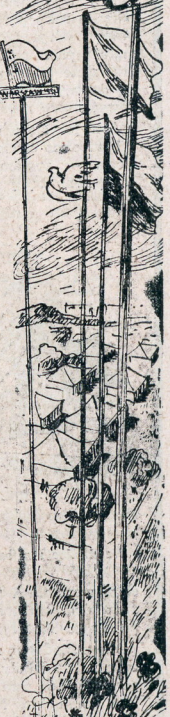

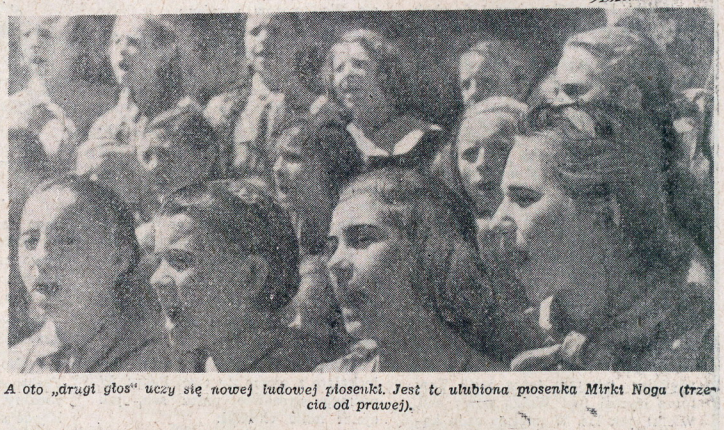

A oto „drugi głos" uczy się nowej ludowej piosenki. Jest to ulubiona piosenka Mirki Noga (trzecia od prawej).

23. VII. w środę zostanie nadane słuchowisko Witolda Jara „Jak Janek odkrył dziką marchewkę i co z tego wynikło" oraz o godz. 15.30 słuchowisko Tadeusza Bąblewskiego „Podróż do Torunia".

24. VII. w czwartek usłyszycie audycję „Głosy z terenu" i o godz. 15.30 audycję słowno-muzyczną Marii Wieman „Tańczymy i śpiewamy na wczasach".

25. VII. w piątek nadane zostanie słuchowisko „Piotruś zwiedza fabrykę parowozów" i o godz. 15.30 siódmy odcinek słuchowiska „Profesor Przedpotopowicz".

26. VII. w sobotę nauczycie się nowej piosenki w audycji „Piosenka Tygodnia", a o godz. 15.30 usłyszycie audycję Jana Brzechwy „Kanato".

27. VII. w niedzielę zostanie nadaną słuchowisko Hanny Januszewskiej „Michałowicka opowieść".

28. VII. w poniedziałek usłyszycie audycję turystyczno-krajoznawczą „Z mapą w dłoni naprzód marsz", a o godz. 15.30 — audycję słowno-muzyczną — „Wiersze Marszaka".

29. VII. we wtorek będzie nadana ciekawa audycja Marii Konopnickiej „Jak to ze lnem było" i o godz. 15.30 — ósmy odcinek słuchowiska „Profesor Przedpotopowicz".

Za oknami miasta, wsie
Dalej — słonko już zachodzi
Jeszcze stacja, jeszcze most...
I jesteśmy w samej Łodzi!

Weszliśmy do dużej fabryki. Nad bramą wisiała tablica: ZPB im. Juliana Marchlewskiego.

W wielkiej hali fabrycznej turkocą maszyny: przy pierwszej maszynie — nikogo nie ma, przy drugiej także. Przy trzeciej, piątej, piętnastej — także pusto. Popatrzyliśmy na siebie zdumieni. Dopiero przy 24 maszynie spotkaliśmy koleżankę Pachnik. Śmiała się do nas:

— Nic dziwnego, że tak długo mnie szukacie. Obsługuję przecież 24 maszyny. A teraz chcę przejść na obsługę 48 maszyn! Majster mówi, że hala już dla mnie za mała!

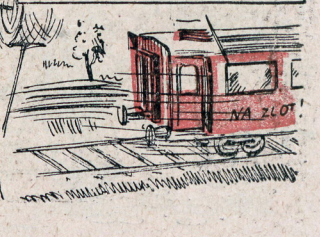

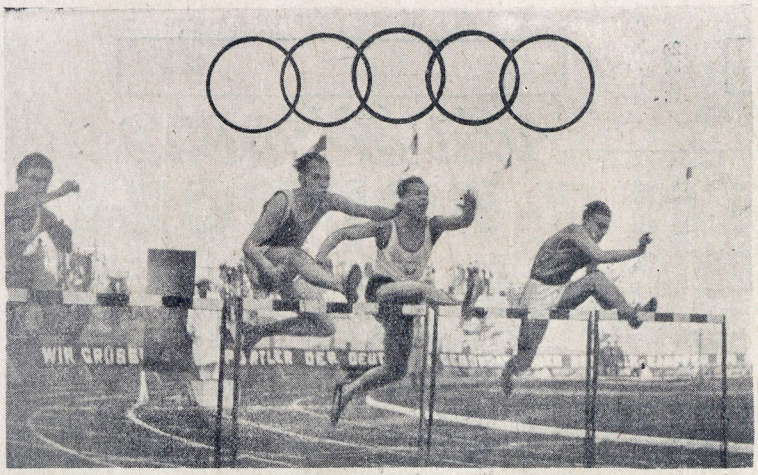

19 lipca w Helsinkach, stolicy Finlandii zostały otwarte XV Igrzyska Olimpijskie. Biorą w nich udział najlepsi sportowcy z 71 państw całego świata. Po raz pierwszy startują także w Olimpiadzie sportowcy ZSRR. Ich udział przyczyni się do wzmocnienia przyjaźni i braterstwa wszystkich postępowych sportowców świata.

Polska reprezentacja olimpijska liczy 134 zawodników . Jest to najliczniejsza reprezentacja, jaką kiedykolwiek wysyłaliśmy na Olimpiadę.

Będą w niej startować nasi lekkoatleci, bokserzy, piłkarze, hokeiści na trawie, strzelcy, gimnastycy, wioślarze i pływacy, ciężarowcy, zapaśnicy i szermierze.

Nasi olimpijczycy, to przeważnie młodzi chłopcy i dziewczęta. Kiedy w Warszawie będzie odbywał się Zlot, oni na stadionie olimpijskim w Helsinkach będą się starać zdobyć jak najlepsze wyniki i przysporzyć sławy naszej Ojczyźnie.

SPORT NA ZLOCIE

W dniach Zlotu na stadionach w Warszawie odbędzie się wiele ciekawych imprez sportowych.

Przez trzy dni będą trwały wielkie międzynarodowe zawody lekkoatletyczne. Nasze barwy będzie reprezentować około 90 zawodników i zawodniczek.

W pierwszym dniu Zlotu odbędzie się międzynarodowy mecz piłki nożnej. Grać będzie reprezentacja Warszawy z austriacką drużyną FAC W tym samym dniu odbędzie się finałowy mecz o Puchar Zlotu pomiędzy drużyną OWKS z Krakowa i „Ogniwem" również z Krakowa.

Na kortach CWKS rozegrane zostanie międzypaństwowe spotkanie reprezentacji kobiecych w siatkówkę.

W dniu 21 lipca uczestnicy Zlotu będą podziwiać międzynarodowe zawody pływackie. W zawodach weźmie udział 42 naszych czołowych pływaków i pływaczek.

Kto weźmie udział w Karnawale na Wiśle, będzie mógł zobaczyć wyścigi około 30 ślizgaczy i wyścigi łodzi wioślarskich oraz zawody kajakowe.

Bardzo ciekawie zapowiadają się zbiorowe pokazy gimnastyczne zespołów AZS, CWKS.

Najciekawszy jednak będzie występ zespołu gimnastycznego Stali. W zespole tym ćwiczy około 700 zawodników. Są to robotnicy z hut, stalowni i stoczni. Pokazy ich będą połączeniem ćwiczeń gimnastycznych z ruchami pracy metalowców.

W zespole CWKS ćwiczyć będzie 800 osób. Zobaczymy także ćwiczenia wojskowe i pokonywanie toru przeszkód.

W dniu 21 lipca najlepsze zespoły gimnastyczne i mistrzowie sportu dadzą specjalny pokaz dla dzieci w Harcerskim Miasteczku Zlotowym.

22 lipca w defiladzie weźmie udział 9576 sportowców z miast i wsi.

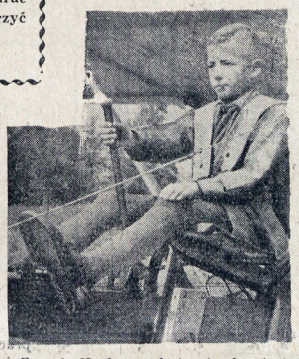

Franek Kępka szykuje się do startu.

Młode SKRZYDŁA

Jak niespokojne ptaki przysiadły na trawie Zliny 26*. Obok z powagą stoją CSS**. Pod błękitnym niebem odbija promienie słońca zgrabny i zwrotny szybowiec „Jastrząb". Wszędzie ruch, słychać warkot startujących i lądujących maszyn.

Na lotnisku Gocławek w Warszawie trwa gorączkowa praca. Młodzi piloci przygotowują się do Zlotu.

Na skraju pola startowego stoi niepozorny szybowiec ABC. Białe skrzydła i kadłub odcinają się od zieleni trawy. Do szybowca zbliża się mały chłopiec. Wiatr rozrzuca jego jasne włosy i szarpie koszulę. Chłopiec dotyka skrzydła, troskliwym wzrokiem bada czy wszystko w porządku. Potem siada, zapina pasy, opiera nogi o orczyk i bierze w rękę drążek sterowy.

— Gotów! —krzyczy.

Stalowa lina odrywa szybowiec od ziemi. Mały pilot szybko unosi się w górę. Szybko mijają minuty, trzeba wracać. Ale wiatr jest przekorny i chce pożartować z chłopcem. Dmucha w skrzydła, rzuca szybowcem to w jedną to w drugą stronę. Malec uparcie ściska drążek.

Po chwili szybowiec ląduje. Sunie po trawie, aby przepisowo zatrzymać się na literze T — miejscu lądowania.

Kim jest ten chłopiec? Skąd znalazł się na lotnisku?

Franek Kępka przyleciał z Golaszowa. Ma dopiero 12 lat i nie dawno na samych piątkach skończył V klasę. Mimo młodego wieku posiada już II stopień wyszkolenia szybowcowego.

Zaczęło się od tego, że ojciec Franka, który jest pilotem i mechanikiem woził go często motoszybowcem. Brał na kolana, wręczał drążek sterowy, próbował zdolności syna. I tak Franek zaczął latać. Potem przyszła praca w kółku modelarskim i drużynie harcerskiej. Nie łatwo było Frankowi zdobyć podstawowe wiadomości z szybownictwa. Ale uczył się wytrwale, często prosił ojca, by tłumaczył mu niezrozumiałe sprawy.

Ojciec jechał do Warszawy, aby wziąć udział w przygotowaniu pokazów lotniczych na Zlot. Franek pojechał z ojcem. Bardzo pragnął latać na pokazach, ale przecież takiemu małemu chłopcu nikt nie pozwoli.

O marzeniu najmłodszego pilota opowiedziano Dowódcy Wojsk Lotniczych.

— Zawiadomcie mnie, kiedy chłopak będzie latał — powiedział — sam go przeegzaminuję.

I przyszedł decydujący dzień. Wszyscy na lotnisku byli bardzo przejęci. Franek wystartował spokojnie, zrobił koło nad lotniskiem i wylądował przepisowo.

Generał z uznaniem obserwował lot. Kiedy chłopiec zbliżył się po wylądowaniu, dowódca uścisnął go jak syna i powiedział:

— Będziesz latać.

Franek często obserwuje jak zwrotne odrzutowe samoloty prują powietrze. Postanowił, że jak skończy szkołę, to zostanie pilotem odrzutowego samolotu. Będzie czujnie stał na straży Ojczyzny, żeby wszystkie dzieci w Polsce mogły się uczyć spokojnie, żeby spełniały się ich marzenia. tak jak jego własne...

ANDRZEJ RZĄDCA

*) Zlin 26 — sportowy samolot produkcji czechosłowackiej.

**) CSS — dwupłatowy samolot szkolny.

Uwaga!

Pozlotowy numer (30) „Świata Młodych" ukaże się 3 sierpnia br.

WYDAJE: Zarząd Główny Związku Młodzieży Polskiej. Redaguje: Zespół — Warszawa, Wiejska 17, tel. 625-49, 85-619, 87-527. Godziny przyjęć — środa i czwartek od 11-ej do 13-ej. ADMINISTRACJA: RSW „Prasa" III Delegatura Warszawa ul. Marszałkowska 3, telefony: 637-20, 807-11, 624-62. KOLPORTAŻ: PPK „Ruch" Warszawa, Srebrna 12, tel. 804-29 (33).

PRENUMERATA: miesięcznie 90 gr, kwartalnie 2,40 zł. Konto PKO nr I-8901. Listonosze i urzędy pocztowe przyjmują zamówienia na prenumeratę do dn. 1 każdego miesiąca.

Zakł. Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa" W-wa, Marszałkowska 3/5. Nakł. RSW „Prasa".

3-B-17480

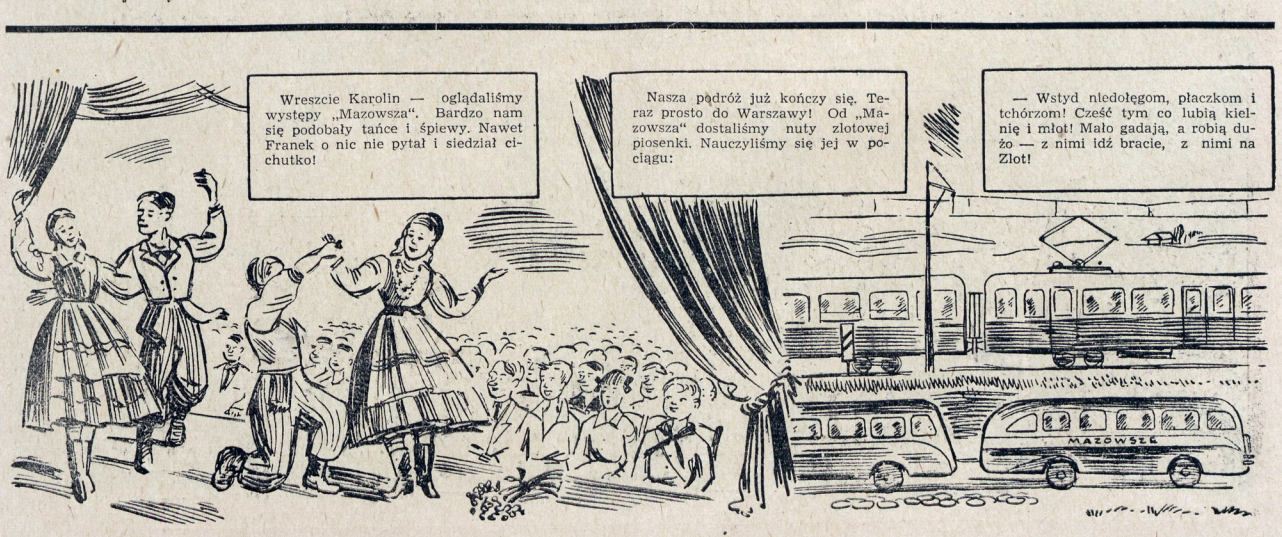

KONKURS

KONKURS

20 22 VII

WARSZAWA 1952

Szukamy na Zlocie

ZNAJOMYCH Z PODRÓŻY

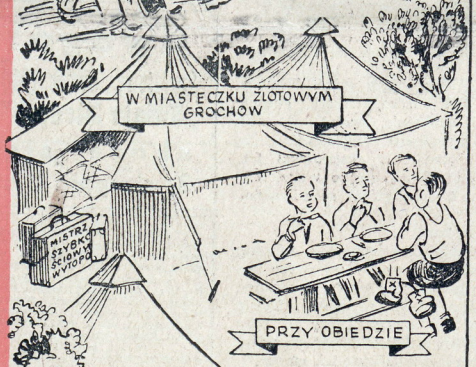

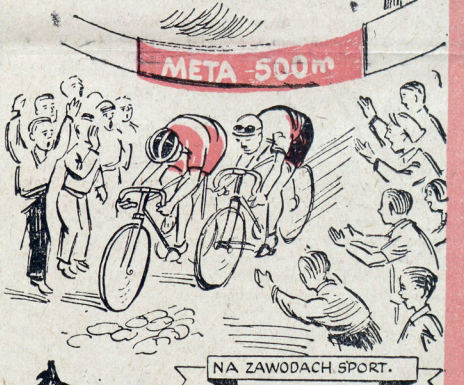

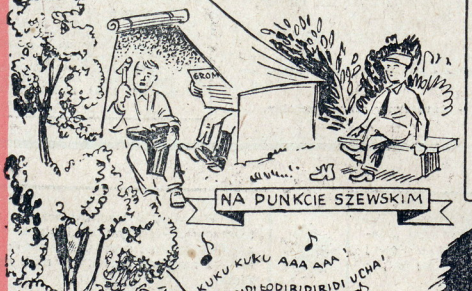

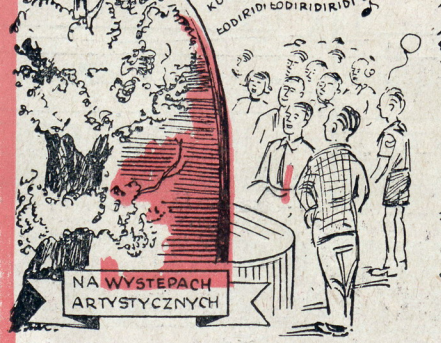

Warszawa — Zlot! Przyjechaliśmy! Przed nami radosne trzy dni wielkiego Zlotu. Chcielibyśmy wszystko zobaczyć, zwiedzić całą Warszawę.

A najważniejsze — chcemy spotkać na Zlocie naszych znajomych z podróży: Henryka Kowola — mistrza szybkościowych wytopów, młodych górników z kopalni Dymitrow, boksera z LZS-u, dziewczęta i chłopców z „Mazowsza", przodowników z PGR-u i włókniarkę Marię Pachnik z Łodzi.

Koniecznie także chcemy poznać tych delegatów, których nie zastaliśmy już w ich miejscach pracy: stoczniowców Maluka i Frankowskiego i inżyniera-chemika z Dworów.

Ale jak tu ich wszystkich spotkać? Na Zlocie będzie przecież aż 200 tysięcy Młodych Przodowników? Już na dworcu w Warszawie zaczęliśmy się porządnie martwić"...

*

Na tych zdaniach urywa się pamiętnik Zosi.

POMÓŻCIE CZYTELNICY NASZYM PODRÓŻNIKOM SPOTKAĆ NA ZLOCIE ZNAJOMYCH Z PODRÓŻY! POSZUKAJCIE TAKŻE NASZEJ TRÓJKI: ZOSI, FRANKA I JANKA.

Jeśli dobrze zapamiętaliście ich wygląd w podróży zlotowej, bez trudu wszystkich znajdziecie!

Ogłaszamy wielki konkurs: „SZUKAJCIE NA ZLOCIE ZNAJOMYCH Z PODRÓŻY!"

WARUNKI KONKURSU:

Musicie na kartce napisać, gdzie znajdują się poszukiwane osoby. Odpowiedź powinna brzmieć na przykład:

Hutnik Ewald Czech znajduje się w miasteczku zlotowym na Bielanach.

Marynarz ze statku „Batory" ogląda wyścigi kolarskie, itd.

(Tych przykładów naturalnie w konkursie nie ma).

NAGRODY

Pierwszą nagrodą będzie przelot samolotem z wybranego miejsca do Warszawy.

Nagroda II — to zegarek na rękę.

Nagrodą III — będzie piękny łuk ze strzałami.

Nagroda IV — to plecak.

Dalsze 100 nagród to różne pamiątki zlotowe.

A więc do pracy! Nadsyłajcie odpowiedzi do dnia 15 sierpnia.

Adresujcie: Redakcja „Świat Młodych", Warszawa, ul. Wiejska 17 — „KONKURS ZLOTOWY".